ROZMAITOŚCI.

Dnia 8. Lipca. № 27. Roku 1857.

Epopea mieszkańców wysp towarzyskich.

(Z dzieła „Sept ans en Océanie" przez H. de Coux.)

Niekiedy opowiadałem Tahitanom baśnie i gawędy nasze o czarnoksiężnikach, i wielce im się podobały. Bajkę o „Róży kolącej" spisano, poprawiano i zwyczajem polyneskim upstrzono różnemi dodatkami, a potem w świat puszczono w licznych egzemplarzach. Dziwnie mi się ona nadała, gdyż przy tej sposobności dowiedziałem się, że i Tahitanie wiedzą o podobnej gawędzie, lecz jeszcze dłuższej, składniejszej i przeplatanej wierszami i podaniami o „bardzo dawnych wypadkach". Lecz jedna tylko z dziewic nadwornych królowej, nazwiskiem Otarte, słynna z pamięci swej i szczególnego daru opowiadania starych gawęd, mogła mi ją opowiedzieć. Długo jednak dała się prosić o to, a i wtenczas jeszcze nie chciała opowiadać jej w zupełnej całości przed białymi, „co radzi szydzą z niewiadomości krajowców." Przypadkiem jednak miałem sposobność towarzyszenia królowej w podróży jej do wysp sąsiednich, a w licznej drużynie podróżnej znajdowała się także i Otarte, jedna z celniejszych towarzyszek zabawy. Pominę tu przygodę bolesną, co dobrą i życzliwą tę panię, głośną wówczas z przygody trochę dziwnej i rubasznej, znagliła do tej podróży do Rajatei; zamilczę o przyczynie pielgrzymki naszej do „ojczyzny bogów", i powiem tylko tyle, że zostawiwszy tam królowę z jej kuzynami i częścią drużyny, wracaliśmy goeletą wraz z sześcioma damami, księżniczkami i innemi, a między tem i z uczoną Otarte! Powrot trwać miał dni kilka; morze było spokojne, pogoda przecudna. Lecz jakże mieliśmy czas ten przepędzić? Towarzystwo nasze składało się z trzech Francuzów, młodzieńców mających razem małoco więcej nad lat pięćdziesiąt, i z sześciu pięknych wyspiarek półdzikich, z lektorek, spiewaczek i bajczarek. Byłyto istne żywioły uciesznego dekameronu, co się zebrały wkrótce u kormy goelety w cieniu żagli lekko od wiatru wzdymanych. Kołysani rozkosznie wraz z statkiem i słodko rozmarzeni, zapuszczaliśmy się wzrokiem znużonym to za lądem znikającym nam zwolna z widoku, to w błękit nad nami, lub za połyskującemi się w blasku słonecznym i długim wałem pieniącemi się falami morskiemi.

Podano herbatę i orzechy kokosowe w rozwartych łupinach, i każdy czekał jeszcze tylko na jaką długą opowieść. Nadobna Otarte urządziwszy sobie wprzód rodzaj tronu z błamów czterech bander, usadowiła się wspaniale, otuliła się długiemi jak śnieg białemi zwojami „hau-pauruuru", którym była odziana, i poczęła gawędę głosem wzniesionym i niemal spiewającym:

Pieśń o Lezy-Nalali.

Świta ranek, ranek chłodny; jestto godzina kończącej się nocy, godzina wciskającej się do pomieszkań mgły dziwnej, kiedy dziatwa drobna kuli się i tuli, by się ogrzać przy matce; jestto godzina, gdzie tkliwe i rozkochane dziewczęta cichą i lekką stopą wracają na łoże, ażeby tam się obudzić, gdzie się za wieczora do snu kładły; jestto najsłodsza snu godzina. Nie nocto już, chociaż i dnia jeszcze nie ma; ktoby iskrzenie się gwiazd i blask księżyca chciał mieć za przewodnika, bardzo by się zawiódł, gdyż mgła chłodna zewsząd powstająca osłania cały przestwor siną oponą i spaja ziemię z niebiosami. Tonga, ziemia pagórków nie ma (jak my) góry Oroheny, co szczytem swym szuka promieni słońca na niebie, nim się stoczą na padoł.

A jednak wstali już rybacy; wychodzą oni z chat w chwili snu najsłodszego, przecierają sobie oczy i utykają w ciemności. Czaple spoglądają na nich z zadziwieniem — czaple zamyślone, co skał pilnują; dają sobie znaki i naradzają się poważnie, święte czaple: „Rybacy mili, czemu się kwapicie? —

nieme ryby spią jeszcze pod koralem, a najsłodsza teraz snu godzina.“

Widać także starce i dzieci! Zbierają gałęzie suche i kamienie gładzone na czeluść. „Staruszkowie mili, pomnijcie też, że drzewo wilgotne jeszcze od mgły nocnej i dymić będzie; wszak teraz najsłodsza snu godzina.“

Idą i kobiety, kobiety z głową nie rozczesaną, szukać liści Ti i zioła Purau. „Ej, kobiety, kobiety, jaki kogut was obudził? Jeszcze do dnia daleko! Pamiętajcie o tem, że od rosy mdleje spojrzenie i końce włosów rudzieją! Wszak to najsłodsza snu godzina! Wszyscy ci ludzie są więc niebaczni.“ Ależ kobiety, rybacy, starce, czaple nie mogą na raz się mylić; musiało zajść coś ważnego, że wszyscy ci ludzie nie baczą tej godziny, kiedy duchy — te cienie milczące — nie ustąpiły jeszcze w góry, by po ciemku wyprawić festyn olbrzymi!

Nagle rozjaśnia się obszar zamglony; ludzie ze snu się ocknęli, świat się ożywił i ziemia obudziła; tysiące głosów się rozlega, promień słoneczny spływa na chmurę, rozpędza mgłę a każda wtenczas kropelka rosy na trawce lub liściu lśni się blaskiem srebrzystym. „Dalejże rybacy, i wy starce i kobiety, coście wyszli za paliwem i zielem. Dobrze, żeście nocy nie dospali, gdyż oto poczyna się już wielka uroczystość! Uderzono już w bębny święte, a teraz pójdźcie i wy po bębny z jaszczuru hajów. Ciemnym potąd jeszcze lasem dolatuje już wrzawa. Znoście tu sieci, uwiążcie je razem i jeden tylko niewod z nich sporządźcie: będzie to rybołówka święta, rybołówka sieci zjednoczonych. Tam oto stoją łodzie wojenne, dajcie je tutaj pod sieci. Zaopatrzcie żywnością te łodzie, co mają na morze otwarte z sieciami odpłynąć. Na pochyłym maszcie uwiążcie kiść piór czarnych; cień ich omami kozy i karpiki; zdawać im się będzie, że to jaki ptak wodny buja w powietrzu. O kozy i karpiki! jakże się zawiedziecie! A zwodzi się zwykle te tylko, co są warte tego.

Po tym ustępie wygłoszonym prawie tchem jednym następuje opis już mniej idealny, lecz zawsze długi jeszcze i zawiły. Wielkie kanoty odbijają od brzegu, cały szereg lekkich łodzi pomyka morzem, a przodem płynie młody król Leze-Nalala, syn królowej; już on na morzu otwartym, gdy wtem królowa staje u brzegu. Królowa rozwodzi swe żale, że go dziś jeszcze nie widziała:

„O smutku mój wielki!
We śnie dzisiejszym
Miałam cię u łona mego
I jak niegdyś byliśmy jednem ciałem (oboje!
A dziecię najmilsze ze wszystkich,
W tych falach igrających w blasku słonecznym,
W skrzydłach ptactwa trzepoczącego się (w szumowisku morskiem,
Zlatującego z niebios ku morzu, a od (morza ku niebu.
Ciebie tylko widzę i wspomnienie o tobie,
O boleści słodka!“

Królowa ta, co ciągle rytmem tylko przemawia, jestto wielka wieszczka Oceanu zwana „Fiti-mo-pologa“. I jedynie jej tylko nazwisko przechowało się w pamięci rapsodów obok dzieł jej przypisywanych. Walna to pani i wzrostu wspaniałego, piękności królewskiej i męzkiego zapewne charakteru; wzbudza lęk i poszanowanie u swych podwładnych, „ujmując do siebie maluczkich przedziwnem swem politowaniem.“ Zawsze poważna, nieco wyniosła, gardzi młokosami i w wiecznem żyje wdowieństwie; widzi rada tylko kapłanów, przywodźców sędziwych i krasomowców, a drużyna jej żeńska składa się po zwyczaju z dziewic pierwszej młodości, co urokiem swych wdzięków mają zwabiać wojowników i chwile im skracać; z przyjaciołek doświadczonych razem wzrosłych z królową, z pojętnych i rozważnych kobiet, co pojmują rytmy jej i spiewy i co znają się na tańcu, na obrzędach i na tem wszystkiem, co rzuca urok na serce, tkliwe i duszę zachwyca. I piękność nie jest tu wzgardzona, lecz sama jedna nie ma wielkiej ceny; zaś głupiutkie, co nie rozumieją spiewów, gawędy i obrzedów, mogą przynieść z sobą pyzate swe liczko i usta koralowe. Władza królowej jest też szeroka, a każda zręczna kobieta może być wykonawczyni jej woli.

Królowa spogląda na łodzie, co już stanęły na miejscu do połowu ryb przeznaczone; wydaje rozkazy, by im wieczór przyrządzono świetną ucztę; zwołuje tych wszystkich, co się tem zająć mają i co pląsami będą kierować; sama zaś czuwa nad przyborami ostatniemi i ważniejszemi, nad ubiorem, a nawet nad przyozdobieniem swej faareary.... Tu zabiera głos jeden z spiewaków: „Kobiety, łodzie już wracają; potrząście liściem świeżym, gdzie ma odbyć się uczta — liściem z purau — chrońcie się kamieni, co

już raz służyły do gotowania potraw — znoście mięso i owoce — trzciną bambusową naciągnijcie przedziwnego soku z tajeru — postawcie dla starców pod cieniem drzew świętych wielkie te naczynia — zgotowany dniem wprzód feus pokrywajcie liściem „Ti“ — przyrządźcie orzechy kokosowe w łupkach otwartych, a przed każdym postawcie kubek wody zdrojowej.“

Lecz czemuż flota niezachowuje przepisanego porządku? Czemuż nie wraca trzema rzędami łodzi uświęconych, gdzie złożono wizerunki bogów? Cóż sobie myślą kapłani, co pląsom przewodzą? Jakim czołem staną przed królową? Flota pędzi na oślep — jak stado papug wylękłych, a nie jak szereg kaczek wędrownych — ptactwo, co umie szykować się w locie i miłe jest bogom! Cóż to za głosy? To nie okrzyk radości, ani to spiew obrzędowy — surma morska odzywa się w dali, surma wojenna — na łodziach powstała wrzawa jakby ludzi zwołujących z góry na górę — na tych łodziach słychać jęki, a na tamtych krzyk trwogi. Mieliżby wyspiarze z Hapalu zerwać zawieszenie broni i uderzyć na naszych rybaków? Któżby się ważył w dzień tak uroczysty flotę napastować? flotę uświęconą! Królowa miota gniewne spojrzenia i pospieszyła ku brzegowi widząc nieład i zaniedbanie obrzędów.... lecz na obliczu jej przebija się teraz już tylko trwoga szarpiąca i niedocieczone cierpienia niedokonanej jeszcze przygody. „Przenikliwym spojrzeniem szuka dokoła; drużyna jej drży od strachu, kryje się, lica blednieją, krew się ścina w żyłach, piersiom tchu niedostaje.... a nikt nie wie przyczyny. Teraz zbliża się łodź ku brzegowi; są to rybacy rodu nizkiego, zasłaniają twarz swą rękoma i umykają do lasu; królowa każe się im zatrzymać: przypadają do ziemi i drżą oniemiali przed jej wielkością.“ Nareszcie wychodzi na brzeg jeden z przywódźców.

„Kobiety, rozplećcie wasze warkocze,
Zerwijcie z głowy obwiązki —
Obwiązki i naszyjniki;
Przynieście miecze,
Smiertelne miecze nasadzane hajów zębami;
Spalcie na popiół szuwar kolczysty,
Szuwar boleści, znamię pogrzebu.
Zalewajcię się łzami rzewnemi,
Dojmujcie do krwi ramionom waszym i licom,
Na widok takiej boleści!
Niech Tonga święta od końca do końca
Łzami naszemi przesiąknie;
Miłość nasza zniweczona
Noc i chłód w piersi naszej się gnieździ;
Już po naszej radości
Już po radości na zawsze.“

Królowa nie płakała.... łez nie roniła... raz tylko westchnęła i postępowała zimna, wyprężona, jak kroczą postacie bogów, co je widać wyrzezane na łodziach. Walczy ze srogą boleścią, chciałaby ją ukoić, lecz głos co się jej z piersi dobywał nie może przecisnąć się przez usta; tylko wargi jej drgają jakby we śnie trapiącym, a ręką wskazuje na morze.... Nareszcie otwiera usta wybladłe i mówi głosem stłumionym: „Wieziecie mi zwłoki jego?“ Po chwili pada zemdlona i mogła spłakać nareszcie.... A gdy tak płacze ozwie się przywódźca: O boleści sroga!... Król nasz żyje. — Człowiecze, co mówisz? Mógłżebyś kłamać w obec łez moich? Czyż przed tem, niż się ozwałeś, nie czułam już śmierci w mem łonie? — Lecz on niestrwożony prawi dalej: Mówię prawdę: król nie umarł! — Wielka flota zarzuciła niewód u skał koralowych — odbywał się połów święty — połów sieci zjednoczonych; morze było spokojne, a wiatr „apatoerau“ wiał nam ranną ochłodą. — Lekkie czółna uwijały się po tamtej stronie skał morskich i opodal od nas, a król je wszystkie wyprzedził. Gdy słońce wzbiło się wyżej, zerwał się wiatr „toerau“ pędząc całą flotę ku zatoce jakby rybitwy.... O potęgo bogów! — O potęgo i gniewie bogów! — Łodź króla nie powróciła, lecz zdawała ścinać się z wiatrem i lecieć mu w oczy — widzieliśmy go pochylonego, jakby drzemał — jakby coraz głębiej usypiał. Wołano za nim — wszczęto okrzyki wojenne; uderzono w bębny łodzi świętych — zaszumiały surmy, surmy uświęcone. Łodzie chciały płynąć za nim, lecz któż zdoła pod wiatr żeglować? — Któż się może szamotać z gniewem bogów? Żagiel nieporadny wzdymał się i wzdymał — jak skrzydła tak się rozpinał, a łodź pędziła na falach spienionych ku wschodowi słońca — pędziła dotykając zaledwie piany fal wzdętych jak szczupak chyży, i lotem strzały pomykała! O szalona chyżości w strony nieznane! — O chłodzie! chłodzie! — chłodzie serc naszych!“

Tu zawoła nagle królowa:

„O boleści! Spieszcie z pochodniami!
Z jaremi pochodniami, wy co go kochacie!
O boleści! Zrębujcie kłody co żywo,

*

Wzniosę stos na wzgórzu wydatnem,
Stos, coby mu ślad jasny wskazał
Na dalekiem, na bezdrożnem morzu."

Otarte przerwała w tem miejscu opowiadanie smutku królowej i przygody królewicza na morzu, rozwodząc się natomiast szeroko o tongejskim olimpie. Napróżno niecierpliwią się słuchacze i radziby dowiedzieć się końca opowieści. Nieubłagana Otarte nie zważa na to i wykłada swą mitologię potrzebną do zrozumienia pieśni. (D. n.)

DZIEJE ROŚLIN.

(Dokończenie.)

Pomijając wiele roślin, bądź polnych, leśnych lub ogrodowych, bądź lekarskich, pastewnych, pożywnych, lub szczero weselnych, a których dzieje p. Alfons de Candolle w dziele swojem „*Geographie botanique raisonnée*" obszernie wykłada, przytaczamy w krótkości te tylko, które u nas znajomsze, więcej są rozpowszechnione, a tem samem więcej ciekawości, zkąd pochodzą, obudzać mogą. Pomijamy też wywód ich właściwości, jakie posiadają, cechy i znamiona, któremi się wyszczególniają, pomijamy pożytki, jakie przynoszą, samą tylko wiadomość historyczną mając na myśli.

Kartofla *(Solanum tuberosum)* rośnie dziko w Chili i na wyspie Chyloe, zkąd ją Europejczycy dopiero w północną Amerykę zawieźli, dla tego mylą się co utrzymują, że kartofla z Karoliny pochodzi.

Ale słodka Batata *(Convolvolus Batatas)* zdaje się, że w całej Ameryce jest samosiewną; przynajmniej ze znanych nam 15 gatunków rośnie dziko na lądzie amerykańskim, 4 zaś dalsze znajdnją się i w innych częściach świata; lecz snadnie być może, w Chinach i w Indyach tylko jest przyswojona.

Karczochy *(Stelianthus tuberosus)* zasiedliły się w Europie dopiero w XVII wieku. Przybyły do nas zpod amerykańskiej strefy umiarkowanej, być może z Mexyku albo Peruwii, gdyż tu i tam są samosiewne.

Rzodkiewka nasza *(Raphanus sativus)* rośnie dziko na wyspie San Pietro koło Sardynii i w Grecyi.

Cebula *(Alium Cepa)* dawny to gość europejski z zachodniej Azyi i Palestyny rodem. Znali ją Grecy i rozróżniali gatunki cebuli cypryjskiej, kreteńskiej i samotrackiej. Z Europy zawiozła się do Ameryki i rozkosznie się rozkrzewiła. W języku kucharskim jest jeden gatunek cebuli przezwany *échalote*; nazwisko to wzięte jest od miasta „Ascalonia" i po łacinie nazywa się *(Allium ascalonicum)*.

Konopie *(Cannabis sativa)* rosną dziko w północnych Indyach, i muszą dawno być znane, bo sanskryckie noszą nazwisko. Właściwą ich ojczyzną zdaje się, że jest strefa umiarkowana Azyi po morze kaspijskie. Że wcześnie musiały być zawiezione do Egiptu, to dowodzi, iż mumie egipskie zawijano w płótna konopne. Zwieść się jednak musiały w Egipcie, bo nie ze wszystkiem są podobne do samosiewnych w Lenkoranie nad morzem kaspijskiem, ani do rosyjskich i sybirskich.

Trzcina cukrowa *(Saccharum officinarum)* gdzieby dziko rosła, teraz niewiadomo, a z nazwiska, które Europa od Arabów, a ci z Sanskrytu pożyczyli, wnosić można, że mieszkaniem trzciny cukrowej była gorąca strefa Azyi południowej. Ameryka jej nie znała, ale przemysł europejski zaprowadził ją na wyspach Otahickich, i od dwóch blisko wieków z korzyścią się tam pielęgnuje."

Koniczyna *(Trifolium pratense)* zaczęła się uprawiać dopiero w szesnastym wieku w Niemczech; przedtem użyteczność jej puszczano mimo.

Szpinak *(Spinacia oleracea)* nie z Hiszpanii rodem jak niektórzy mniemają. Byli by go znali Rzymianie, abo Grecy, gdyby był dawnym Enropy mieszkańcem. Prawdopodobniej, że pochodzi z Azyi południowej, bo go zna Arab i nazywa „Isfanadż", co w perskim języku brzmi „Ispanadż", a w hindostańskim „Isfani". Przed szesnastem stuleciem niesłychać było o szpinaku w Europie.

Tytoń *(Nicotiana Tabacum)* jak go nazywamy z turecka, a Tabaka z amerykańska, wiadomo że z Ameryki pochodzi, ale potąd jeszcze żaden botanik nie odkrył tej rośliny w Ameryce dziko rosnącej. Toczą się też między uczonymi spory, czyli *Nicotiana chinensis i persica* nie są samosiewne gatunki tytoniu w Azyi. P. de Candolle przeczy temu, raz że wszystkie nazwiska tej rośliny w azyatyckich językach są tylko przekształtem wyrazu „tabaka"; a powtóre że Stanisław Julien, sławny sinolog, nie znalazł w pismach chińskich nigdzie wzmianki o tytoniu, aż dopiero gdy w bliższe stosunki z Europejczykami weszli. Sam zaś wyraz

„tabaka“ nie oznacza u Amerykanów nazwisko ziela, ale tego narzędzia, z którego tytoń palą.

Herbata *(Thea chinensis)* rośnie dziko w kraju indyjskim Assam, ale sanskrycki język nie ma dla niej wyrazu; a przeciwnie Chiny przechowują dawne świedzie, że się herbata u nich chowała i pielęgnowała.

Indigo *(Indigofera Anil)* pochodzi z Indyi, ale są niektóre gatunki indygu swojskie w Ameryce, i jeżeli się sprawdzi to co Humboldt mówi, że Mexykanie hyeroglify swoje indygiem malowali, będzie można twierdzić, że Amerykanie bawili się hodowaniem indygu wprzód nim zostali odkryci.

Morwa, tak biała jak czarna *(Morus alba et nigra)*, rośnie samosiewnie w Małej Azyi, w Armenii, Tracyi, Tesalii, w Grecyi i we Włoszech, chociaż tu dopiero w szesnastym wieku zawiedła się czarna morwa, przedtem hodowano jedwabnika samą morwą białą. W Indyach morwa biała chowa się tylko po ogrodach, ale w Chinach północnych rośnie samosiewnie.

Nazwisko **Szafran** *(Crocus sativus)* pożyczyli nam Arabi; a grecki wyraz „crocus“ być może że z hebrajskiego pochodzi, bo w krajach zachodniej Azyi, zdaje się było pierwsze mieszkanie Szafranu, Indye sprowadzają szafran z Kaszmiru, i ztąd go nazwali „kaszmirajamma“.

Cytryna *(Citrus medica)* pochodzi jak mówi Theofrast z Medyi; ale to pewna że za czasów Mojżesza nieznaną była, i że dopiero za czasów Rzymian Żydzi się z nią poznali. Właściwą ojczyzną jednak cytryny najpewniej mogą być Indye północne, bo przychodzi w sanskryckim języku pod nazwiskiem „Bidżapura“. Do Włoch zaniosła się w trzecim lub czwartym wieku, ale długo ludzie pracowali, nim się spowinowaciła z ziemią włoską.

Cytryna kwaśna *(Citrus Limonum)* jest rodem ztamtąd zkąd i cytryna „medica“; zaprowadzili ją na zachód Arabowie, a Krzyżacy zawiedli do Włoch. Ciekawem jest zkąd wywodzą nazwisko jej „limon-limone“. W sanskryckim językn nazywa się „Nimbuka“; z tego Hindostanie zrobili: „Nimu, Limu, i Libu“ co Europejczycy na „limone“ przeistoczyli. Podobnemu przeistoczeniu uległa także:

Pomarańcza gorzka *(Citrus vulgaris)*; w sanskryckiem nazywa się „Nagrunga“ co Hindostanie wymawiają „Narundzi“, a Arabowie „Narudż“. Z tego powstało u Włochów „Narancio“. Arabowie pielęgnowali pomarańczę u siebie jeszcze w dziewiątym wieku, a w r. 1002 sprowadzili ją do Sycylii; poźniej Krzyżacy rozpowszechnili już znajomość.

Pomarańcza słodka *(Citrus Aurantium dulcis)* jest według p. de Candolle tylko inny gatunek gorzkiej, ale jej chów w Indyach pisze się z poźniejszych wieków, ojczyzną jej są Chiny południowe, Kochinchina i Birma; do Włoch zawieziono ją w wieku szesnastym, i nie jest prawda żeby z Ameryki pierwotnie była sprowadzona.

Wino rośnie dziko we wszystkich od Kaukazu południowych krajach. Uprawa wina w północnych Indyach musi być bardzo dawna, bo nosi sanskryckie miano.

Trześnia zwana *(prunus avium)* rośnie dziko w południowej Europie, szczególnie w Grecyi, a to co Pliniusz powiada, że Lukullus pierwszy trześnię znad Pontu do Włoch sprowadził, to się rozumie o Trześni kwaśnej *(prunus cerasus)*, zwanej po naszemu „Wiśnia“, po niemiecku „Weichsel“, co dowodzi, że Germania od Sławian przyjęła tę roślinę.

Śliwa *(prunus demestica)* jeśli nie jest rodziną w południowej Europie, to pewnie od wieków tu zakorzeniona. Właściwa jej ojczyzna połndnie zakaukaskie. Ztądto także rodem:

Morela *(prunus armenica)*, nazwana u Greków jabłuszkiem ormiańskiem, ale za Theofrasta jeszcze jej Grecy nie znali, dopiero w pierwszym wieku po Chrystusie wspomina o niej Dioskorides i nazywa „Praikokia“, z czego się zrobiło w ustach cudzych „Aprykoza.“

Brzoskwinia wnosząc z nazwiska „*Amygdalus persica*“ pochodzić by musiała z Persyi, bo też Grecy i Rzymianie z Persyi ją otrzymali. Pielęgnują brzoskwinię także Indye północne, ale iż dla niej niema nazwiska w języku sanskryckim, zaś w powieściach i legendach chińskich wielką odgrywa rolę, tedy prawdopodobnie ojczyzną jej są Chiny, zkąd potem do Japonii się przesadziła. Grecya poznała ją w czasie wyprawy Alexandra na kraje perskie.

Migdał nazywa Cato „*Nux graeca*“ i może być, że do Włoch z Grecyi się dostało drzewo migdałowe. Tymczasem to pewna, że Żydzi palestyńscy uprawiali w swym kraju migdał słodki i gorzki, dla tego ojczyzna jego gdzieś będzie w tych stronach, to jest zachodnia Azya, Persya, może i Algerya. Powiada Theofrast, że ogrodnicy w Grecyi

umieli przeistaczać migdał słodki w gorzki, a gorzki w słodki; jeżli prawda, sztuki tej dziś nikt nie zna, ale prędzej być może, że Theofrast się myli.

Grusza i Jabłoń są samosiewne w strefie umiarkowanej Europy. Nazwiska ich w łacińskim i cudzoziemskim, jak francuskim i niemieckim języku świadczą, że chowem tych roślin trudnili się lub zajmowali Celtowie, Bretony i Gallowie. Bo Grusza po łacinie mówi sie *pyrus communis*; a Celtowie mówili „Peren", Francuzi mówią „poire" a Niemcy „Birn". Jabłoń po łacinie „*pyrus Malus*" zwała się u Bretonów „Aval", u Gallów „Afalan"; Niemcy mają „Apfel i Apple".

Melon (*Cucumis Melo*) wywodził się w południowej Europie od najdawniejszych czasów, nigdzie go jednak w dzikim stanie jeszcze nie znaleziono. Być może, że zza Kaukazu pochodzi.

Tych i wiele innych roślin podając historye, dowodzi oraz p. de Candolle, że każda z nich pod jakąkolwiek sferę przeszczepiona nigdy się nie przeistacza, zawsze w pierwotnym pozostaje rodzaju; może podleć na gruncie gorszym pod niebem nieprzyjaznem i w zaniedbaniu, może się uszlachetniać przy chowie troskliwszym, ale nigdy nie zamieni istotnej natury swojej; grusza nie będzie śliwą, śliwa nie będzie brzoskwinią i t. p. Uważa w tem konieczność przyjęcia zasady: że każdy rodzaj miał swój osobny i właściwy kulec pierwotnie.

Ale przeciwnika nie tak łatwo pokonać. Właśnie tam gdzie p. Candolle z pewnością się wyraża, tam zapaśnicy stawią mu opór. Najmocniej się opierają przy roślinności zdziebłnej i twierdzą, że roślina z rodu Egilopei, a mianowicie tak zwana (*Aeg. ovata*) przeistacza się w pszenicę, byle ją pielęgnować. (Edinburgh Review-październik 1856.) Dziwna tylko, że Egilopea w ogrodach botanicznych po wiele lat i pewnie troskliwie chowana, zawsze Egilopea a nie pszenicą. Pan Candolle dowodzi umiejętnie, że kwiat u roślinności zdziebłnej tak ma osobliwą organizacyę, iż niepodobna ażeby się ziarno jego mogło kiedy przepłodzić w inne. Dowodzi, że ani odstęp czasów, ani różnica klimatów na zmianę rodzaju ziarna wpływu nie wywywiera. Odwołuje się do ziarn pszenicy znalezionych przy mumiach egipskich, które po tylu i tylu lat tysiącach teraz posiane, wydały taką samą pszenicę jak była posiana. Słusznie uważa, że między szczytem góry Etny, a wybrzeżem u stóp jej morskiem, zachodzi taka sama klimatyczna różnica, jakby między dwoma geologicznemi wiekami. Otoż niech z wierzchołka góry Etny przeniosą wiatry nasionko na wybrzeża, wyjdzie z niego u podnoża góry taka sama roślina jaka była na szczycie, i nawet nie widziano by się kiedy zmieniła, chociażby z warstwy na warstwę z góry kolejnie zestępowała.

Obok tych badań rozumowanych nawodzi o roślinności zdziebłnej dalsze historyczne podania.

Gdzie pierwsza ojczyzna Pszenicy (*Triticum vulgare*) nie do odkrycia dzisiaj. Ród jej sięga niepamiętnych wieków, jak rolnictwo, z którem zdaje się że społem na naszą część świata przybyła. Dzieje chińskie zapisały zaprowadzenie pszenicy u siebie pod rok 2822 przed Chrystusem, wtedy kiedy panował Cesarz Chi-nong. Mitologia egipska zaś im utrzymuje, że w Egipcie rosła pszenica i jęczmień (*hordeum*) dziko, i że je Ozyris ludziom przyswoił. Mojżesz mieni chlebodajną Palestynę krajem w pszenicę plennym.

Trudno także sprawdzić, zkąd Żyto (*Secale cereale*); wnosząc z nazwiska możnaby sądzić, że jest rośliną strefy umiarkowanej szczero europejskiej. Najprzód że żyta nie znali ani Grecy ani Egipcyanie, powtóre że Pliniusz nadmienia, iż się pielęgnuje u stóp gór alpejskich i w Tauryi, a ostatecznie, że nosi nazwiska z języka tych ludów, co w umiarkowanej strefie europejskiej zamieszkiwały, najprzód sławiańskie „Żyto", powtóre staro germańskie „Rog" dziś Roggen, a po trzecie celtyckie „Secal czyli Segal", zkąd powstało rzymskie „Secale".

Owies (*Avena Sativa*) zdaje się, że ze Sławianami się zaprowadził, albo też społem z Germanami, którzy go za chleb pożywali. Nieznanym był ani Żydom, ani Egipcyanom, nie widzieli go ani Grecy ani Rzymianie, w Grecyi nawet dziś jeszcze owies jest osobliwością. Anglicy zawieźli nasienie owsa do Indyi, a sami przyswoili go sobie od Sławian, ile z nazwiska „Oats" wnosić można.

ŁAŹNIA MAURYTAŃSKA W ALGIERZE.

Max Maria baron Weber, opisuje w ciekawem swem dziele: „Wycieczka do francuskiej Afryki północnej", łaźnię maurytańską.

Upał był nieznośny, pragnąłem ochłody. Chodźmy do łaźni Maurytańskiej — radzi mi p. L... z którym znajomość zabrałem. Łaźnią zamkniemy dzienną naszą wycieczkę. „Jutro będziesz wprawdzie jak zbity, lecz za to pojutrze czuł się lekki jak piórko, i zdrów jak ryba w wodzie.“ Zresztą nie tail L... przedemną, że łaźnia maurytańska nie koniecznie wytworna, i nie mam się łudzić marzeniami tysiąc nocy o Wschodzie. Proszę, przypatrz się! mówił, gdyśmy stanęli przed łaźnią.

Przyjaciel mój wszedł przodem do niskiego, lecz porządnego i pięknie przyozdobionego przedsionku; przedsionek wyglądał ładnie, oświecony u stropu płomykiem gazowym za szybą niebieskawą. Zza drzwi w głębi cisnęło się wilgotne, gorące powietrze, i przy chłodnem, wieczornem powietrzu skłębiało się w chmurkę.

— „Tędy, tędy, rzekł L.... śmiejąc się na głos. Postąpiłem wązkiemi na dół schodkami, które tak jak i ścianki uboczne były całkiem parą wilgotną przesiąkłe. Dołem roztwierało się coś nakształt obszernej, wcale niepobawnej sali w oświetleniu mdłem i czerwoniawem. Z niży, ciemniejszej jeszcze od schodków, zawołano na nas gardłowym głosem i z zacięciem arabskiem: „*Les bijoux, Messieurs!*“ i ujźrzeliśmy coś podobnego do ręki ku nam wyciągnionej.

Zdziwiony spojrzałem na mego towarzysza, co to ma znaczyć? rzekł mi z uśmiechem: — „Możesz mu bezpiecznie powierzyć zegarek, pierścienie i pieniądze; za powrotem odbierzesz wszystko jak było, i ujdziesz szkody przed sprytem złodziejów w „*bains maures!*“

— „Przyjemności jak widzę czekają mię coraz większe“ — odrzekłem, złożyłem drobiazgi moje w czarne ręce wystające, jak dopiero spostrzegłem zpod ramion Maura młodego, który siedział prawie całkiem nagi w niży, i co mu powierzono chował do skrzynki.

Oczy moje oswoiły się nareszcie z ciemnością; zacząłem się oglądać i ujrzałem się w dość wysokiej, ośmiokątnej sali, której strop dziwnie powiązany spierał się środkiem na czterech słupkach kręconych, a między niemi kopciła lampa i czerwoniawo przyświecała. Cienie słupów odbijały się na ścianach w formach olbrzymich. Popod ściany urządzona była kamienna estrada na półtrzeciej może stopy od ziemi, szeroka na sześć do siedem stóp; przyścielona była matami, a gdzieniegdzie nad nią wisiały podziurawione prześcieradła z cycu tunetańskiego, z którejto materyi są burnusy arabskie. Na samej zaś estradzie leżały wańtuchy rozmaitej wielkości, nakształt mumii pozwijane w sposób cygara; tylko z końca tych wałków wystawały twarze mniej więcej śniade i wołały „Kaweh“, i z tego tylko można było poznać, że to jakieś ludzkie stworzenie tam leży. W koło nich zwijały się jakieś niepoczesne i smagławe postacie, i podawały im do ust filiżaneczki z kawą. W głębi widać było otwór ciemny poza kotarą z dywana starego, i zdawał się prowadzić do ciemniejszej komory; z niej w pewnych przerwach wynosiły owe duchy służebne w fezach czerwonych, we dwóch lub we trzech męczennika w powiciu, i składali go na estradzie obok drugich leżących pokotem, a wyglądały jak czarty, co duszę udręczoną przerzucają z jednej jamy piekielnej do drugiej.

Chwilami wydarzało się, że ten lub ów wyleniał się z powicia jak gąsienica, wykluwał się zpod płacht barchanowych i flanelowych, i występował to w ciemnej wychudłej lecz kościstej postaci Kabyla, to w smukłej Araba, lub białej i giętkiej Francuza. Dopiero każdy szukać za swym zawiniątkiem, okrywać się burnusem, lub przywdziewać mundur, i w przeciągu kilku minut wymykał się ciemnemi schodkami w postaci poważnego Arabu, lub wesołego i wrzaskliwego Francuza. Wszystko zresztą zamglone było parą, a według zwyczaju tamtejszego wszystko to odbywało się w ciszy, i nikt słowa nie mówił.

Łaźnia ta zdawała być cieplarnią gdzie się wylęgają ludzkie poczwarki, i nie sprawiła na mnie dobrego wrażenia, zwłaszcza przy mocnym zapachu piżma, w którem się Arabowie mocno kochają.

— „Tylko się przyzwyczaić“ — odrzekł mi L.... gdym się żalił, — „dla mnie to wcale obojętna, i niejedną już tu noc spędziłem, gdy mi się przypadkiem klucz od izby zatracił. Że się użalasz, to ztąd żeś teoretyk niemieckiej szkoły; praktyka afrykańska z czasem przemoże!“

Dał znak, a trzech młodych Arabów wypadło z kąta; skoczyli na nas jakby czarne pantery, w majtkach wyżej kolan, z fesem na głowie, a trepkach na nodze. Przyznać tu muszę, że nie zdarzyło mi się widzieć zgrabniejszych i lepiej zbudowanych chłopaków. Dotknięcia ich były jak axamit, lekkie

i pulchne jak łaszczenie się koteczki angorskiej. W okamnieniu pościągali z nas suknie, dwóch silnych Arabów porwało mego towarzysza i mię samego jakby piłkę, i dalej z nami po schodkach do wspomnionej komory ciemnej. L.... nie popuścił swego cygara, i migał przedemną na ręku Araba jak robaczek świętojański.

Komora, do której nas zaniesiono, była nieco niższa od tamtej. bardziej jeszcze zamglona, znacznie pośledniejsza, i tylko jedną lampą żelazną oświetlona. Parno w niej było do uduszenia, przynajmniej z początku, i słychać było mocny plusk wody. Na środku było znów podwyższenie kamienne w kształcie stołu na 15 stóp wzdłuż i wszerz i wyłożone jak najstaranniej gładkiemi płytami kamiennemi. Legowisko to zdawało mi się być na pierwszy rzut oka prawdziwą turturą, leżało na niem wyciągniętych pięć lub sześć ciał ludzkich silnie zbudowanych i rozmaitego koloru, począwszy od całkiem sniadego aż do całkiem jasnego; tylko czarnego koloru nie było, gdyż murzynom zabroniony jest wstęp do łaźni maurytańskiej. Posługacze łazienni podobni do tych, co nas do parni zanieśli, porywali kto się nadarzył z płyt kamiennych, i składali na macie w jednej z niż ościennych, których ośm było w tej parni. Chwilami ozywała się lub monotonna pieśń arabska i westchnienie, lub wygniatanie i plusk wody; nieznajomemu co się tam działo mogło-by to się wydawać niejako łożem madejowem.

Nareszcie znalazło się miejsce i dla nas na płytach kamiennych. Najprzód oczyścili je chłopcy wielkiemi gąbkami jak najstaranniej, poczem złożono na tym stole kamiennym mego towarzysza, a trochę późniéj i moją osobę.

Płyty były tak gorące, żem o mało nie wrzasnął, p. L.... ofuknął „*Diable*, *est-ce que-tu crois*, *que nous sommes des pommes cuites?* Wszak jeszcze mię nigdy te płyty przeklęte tak nie parzyły!“ Na to Arab, tylko wyszczerzył dwa rzędy białych i równych zębów, i swoje zwyczajne „*E bono!*“ powiedział. Tyle nam było na teraz wesela, więc w śmiechy.

Leżeliśmy może z dziesięć minut na tym stole piekielnym, poczem łaziebnicy nas pochwycili na ręce, i zanieśli do niży. Opłukawszy maty wodą gorącą, która tryskała z kurków w ścianie, zaczęli nas kąpać na sposób wschodni. Mądło czuć było mocno piżmem. Nacierali nas począwszy od głowy, i po tem gnietli, naciągali członki, a koło każdego parało się dwóch posługaczy łaziennych. Naciągano nos i uszy, głowę przekładano z jednej strony na drugą; dalej oparł jeden z laziebników nogą o pachę i naciągał nam ramiona, inny ogniatał pierś zwolna wprawdzie, lecz oraz i z takim naciskiem, że gwałtem przychodziło oddychać. Potem kazano nam prosto wyciągnąć się na wznak, ręce i nogi wyprężyć, a jeden z Arabów rzucił się prawie aż przylgnął do nas, tak że mi aż w stawach trzasło. Ale chociaż męczarnie tak były silne, z tem wszystkiem jednak nie czułem bolu, i jeżli który zgnieciony zawestchnął, tedy Arab jeden z drugim przestawał śpiewać, i pytał poważnie: „*E bono?!* Co już samo, bez łechtania śmieszyło.

Dopiero nas spluskali ciepłą wodą i jak lalki poobwijali nareszcie w prześcieradła i koce, że ani ręką ni nogą ruszyć się dało, i tak spowitych zanieśli nas do pierwszej komory, gdzieśmy leżeli jak kłody.

Na poczesne teraz przyszła tęga i dobra kawa na spodzie z fusami, postawiono nam w malutkich filiżankach u głowy. L.... co to się już dawno z-arabił, kazał sobie podać do ust pypkę od fajki i palił swobodnie. „Kaweh!“ zachodziły głosy to ztąd to z owąd; za przykładem i ja poszedłem, orzeźwiło mię zaraz, inaczej byłbym zadrzemał może i zasnął na piekne. L ... postrzegłszy, że mi się na sen zbierało, zerwał się i zawołał: „Spać tu nie można: po przebudzeniu w tej ciemnicy człowiek myśli że w grobie. Znam ja się z tem już znam! Więc chcąc nie chcąc zebraliśmy się z pospiechem, a posługacze za pół franka odprowadzali nas z podziękowaniem z tej otchłani do ciemnej niży, gdzie nam nasze pieniądze i kosztowności wydano rzetelnie ze schowku.

Dopiero na wolnem powietrzu zrobiło się lżej i przyjemnie, zwłaszcza po niewypowiedzianych wrażeniach jakich w łaźni maurytańskiej doznałem. Było blisko północy i dość chłodno, więc skoczyliśmy cożywo ku hotelowi d'Orient. W jasnej i wygodnej izbie gościnnej zastaliśmy przy butelce wina kapitanów D... i Ch...; przysiedliśmy się do nich, doświadczenia nowe wypogodziły myśl i usta rozwiązały — i dopiero gdy pobudka murzyna z wielkiego meczetu na ranne pacierze wołała, szukałem noclegu; i sprawdziłem pierwszy raz w życiu co to znaczy: jak po kąpieli.“

Ja dodałbym jeszcze: „błogosławieni co byli w łaźni maurytańskiej“ spią na puchu, a senne gnomy unoszą ich na skrzydłach swoich w roskoszne kraje, gdzie swoi.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.**

Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.